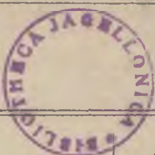
Nr. 2. Lwów, dnia 20. sierpnia. Rok 1901.

NOWY SZCZUTEK

Wychodzi 5. i 20. dnia w miesiącu.

Stańczyk: Naści; rządź!
masz tu kaduceus polski,
mąć nim wodę, mąć.



. . . .
Ale świętości nie szargać!
St. Wyspiański, „Wesele", Akt II. scena 7.

Niby „przedsłowie".

A to szczo takoho? A to co takiego? Pisemko katolickie z dodatkiem humorystycznym? Cóż to nowego? Tego to jeszcze chyba nie było! Już różnych katolików i różne katolicyzmy widzieliśmy: widzieliśmy katolicyzm ruchawy i nieruchawy, i narodowy i polski i ruski i nawet żydowski, i zastawniczy i asekuracyjny (ten ostatni w dwóch odmianach: lwowskiej, *Thumenia neophytica*, zaszczepionej na *Katzenellenbogenia pejsatica*, i wiedeńskiej, *Kalbermattenia baranica periuria*; znawcom z ul. św. Batorego*) pozostaje do ocenienia, która z tych odmian lepsza — tj. *„e duobus malis....."*).

Ale „katolicyzmu humorystycznego" — tego rodzaju i tej odmiany tośmy chyba jeszcze nie widzieli, no i świat i Korona polska też nie oglądała. *„A pek tobi, did'ko wołochate!"* — powiedziałby i może i mówi pierwszy lepszy obywatel z pod cerkwi św. Petra i Pawła lub św. Paraskiewii, a choćby niezapomniany Onufry z Bajek.

Otóż za pozwoleniem, łaskawi Państwo! Możeby to wziąć trochę odwrotnie, po prostu z lekka: „obrócić kota . . . . ."? Zapewne, i przyznajemy to sami, iż „humorystyczny katolicyzm" byłby czemś nowem i co najmniej.... humorystycznem — lecz tak np. „k a t o l i c k a h u m o r y s t y k a"?... Co na to powiecie? Jak się wam to podobie, „Najmilsi"? Możeby to zjawisko było już bardziej racyonalnem i do czegoś ludzkiego podobnem?

Wszak najlepszymi katolikami byli bez kwestyi święci Pańscy, a znaną jest tzw. *„hilaritas sanctorum"*, wesołość świętych. Byli to ludzie najweselsi i najdowcipniejsi pod słońcem.

Lecz po co daleko sięgać? Wszak te „czasy świętych", — to takie nam się jakieś wydają odległe, takie zapomniane i zamierzchłe, może jeszcze bardziej dalekie, niż czasy pogańskie — pochodzi to zapewne stąd, że chociaż my żyjemy niby to w pełnym blasku wiary Chrystusowej, w wielu państwach i krajach za „panującą" uznanej, a w wielu przynajmniej na drugiem miejscu stawianej (co za łaska!), jak np. u „nas" w błogosławionej Austryi, gdzie ta religia zajmuje bez kwestyi pierwsze miejsce, ale po.... żydowskiej, stanowczo większymi tu przywilejami obdarowanej — otóż mimo tego tak dominującego stanowiska naszej religii, czasy dzisiejsze, i to na każdem polu, niewiele jeszcze się różnią od pogańskich. Formy życia wprawdzie się bardzo znacznie zmieniły, ale treść pozostała prawie t a s a m a, gdyż i natura ludzka jest zawsze ta sama. Uzna to każdy nieuprzedzony i trzeźwo się na świat i życie dzisiejsze patrzący.

Więc my też, dziś raczej w pełnym blasku „Odrodzenia", tj. odrodzenia starego, a wiecznie młodego pogaństwa, niż chrystyanizmu żyjący, my, dla których z tego powodu czasy świętych jeżeli już nie na odległość Syryusza, tj. jakichś x tysięcy lat drogi światła, to przynajmniej na odległość Skargi i Wujka dalekie, my, nowocześni na każdym kroku więcej poganie, niż chrześcijanie, sięgnijmy nieco b l i ż e j.

Ot np. nie dalej, jak do świeżo zmarłego a niezapomnianego „Ojca Maryana" (Morawskiego) — że nie chcemy mówić o trochę dawniejszych, jak o ś. p. X. Zygmuncie Golianie lub X. Waleryanie Kalince.

Czy ludzie ci prawie święci, ludzie żyjący pośród nieustannej a ciężkiej i utrudzającej pracy, wśród której prawie tylko modlitwa stanowiła jakieś orzeźwienie i jedyną rozrywkę, a naodwrót praca urozmaicała modlitwę, ludzie ci, mieniający nieustannie towarzystwo Boga na ludzkie i odwrotnie, a zarazem ludzie, których życie było jednem pasmem cierpień i znojów, — nie byli, jak to wiadomo dobrze każdemu, kto miał się z nimi sposobność i szczęście zetknąć, tak wesołymi, tak dowcipnymi, tak nawet jowialnymi, iż to w pierwszej chwili aż nawet zadziwiać musiało?

Ale to tylko w pierwszej chwili. Bo po głębszem zastanowieniu nie wyda nam się ich wesołość, ta „wesołość świętych", tak dziwną i niekwadrującą z modlitwą lub pobożnością. Jeżeli *„ein ruhiges Gewissen ist das beste Ruhekissen"*, jeżeli sumienie czyste i spokojne, zgodnie z prawem Boskiem i ludzkiem żyjące, jest pierwszym i najważniejszym warunkiem spokojnego snu (i spokojnej śmierci), to jest ono też najważniejszą rękojmą i podwaliną spokojnego i wesołego żywota. Bo pobożność i katolicyzm nie polega na ponuro ascetycznem wbiciu wzroku w ziemię lub nieustannem odmawianiu (częstokroć tylko bezmyślnem „klepaniu") pacierzy, ale — i to o wiele więcej — na życiu przykładnem i uczciwem, któremu towarzyszy zawsze, jak woń kwiatowi, niezmącona wesołość i pogoda umysłu.

„I do tańca i do różańca" — było ideałem i zaletą naszych praojców i przodków: dlaczegożby nie miało być i naszą, ich skarłowaciałych wnuków i potomków? Dlaczegoż humor narodowy ma tak upadać, iżby się kalał w b ł o c i e, jakiem jest tak powszechnie dziś, niestety i u nas, grasująca pornografia i paszkwil?

Są to rodzaje humoru i humorystyki zapewne n a j ł a t w i e j s z e (jak dla kogo), ale przyzna każdy, że najniższe, najbardziej płaskie, a nieraz wprost brudne i wstrętne.

Jest pewne zwierzątko (rogów ono zazwyczaj, na codzień, nie nosi..), które wlezie w błoto i bagno najobrzydliwsze i siedzi w niem i lubuje się i kąpie, jakby w najczystszej krynicy.

Powinszować, ale chyba nie zazdrościć tym, którzy na niwie humoru polskiego te, poczciwe zresztą, zwierzątka naśladują.

My jednak chcemy innego humoru. Humor jest życia nie tylko okrasą, ale i konieczną codzienną potrzebą: zabawa i rozrywka jest tak organizmowi ludzkiemu niezbędną, jak sen, ruch, pożywienie lub napój.

Ale czyż tego humoru i rozrywki mamy szukać koniecznie w zgniłej knajpiano-szynkowej atmosferze i czyż zabawę naszą mają stanowić tylko tam o późnej nocy, wśród dymu nikotynowego i oparów alkoholowych wylęgłe koncepta, a nie raczej wesołość,

*) *Horrendum!* Co za katolicka ignorancya! *Batory* był zaiste wielkim mężem, ale jeszcze nie został ogłoszony świętym, dopiero na drugi rok będzie jego kanonizacya! (*Przyp zecera*).

zrodzona w różowym blasku poranka i jasnej słonecznej pogodzie dnia, na pracy spędzonego, i na odwrót życie rozjaśniającą i umilającą? Czy nasze pisma humorystyczne muszą już być z porządnego domu wyklęte i niemożliwe do położenia na stół w salonie lub dania do rąk dorastającej młodzieży? Czy nie mogłyby one właśnie być raczej podobnemi np. do niemieckich *Fliegende Blätter*, — że wymienimy tylko to u nas najbardziej znane pismo, choć tego rodzaju pism jest za granicą więcej, które śmiało. bez żadnej cenzury i uprzedniego czytania, można dać w rękę najniewinniejszej panience lub najskromniejszemu młodzieńcowi?

Było u nas pismo, jedno z pierwszych humorystyczno-satyrycznych we Lwowie i w kraju, którego humor nizką lub brudną płaskością nigdy się nie skalał, a którego cięta satyra była tego rodzaju, iż śmiać się z niej mógł nawet nią bezpośrednio dotknięty. Był to nieboszczyk *Szczutek*. My w tym naszym dodatku chcemy go pod tym względem naśladować, tj. bawić bez smalcu, bez paszkwilu, bez przykrego wyśmiewania jakichkolwiek wyznań, narodowości lub stanów, oraz bez naruszania życia prywatnego. A gdy publiczne podlega satyrze, to niechże ona nie wkracza w granice przykrości, bo to, co przykre, przestaje być śmiesznem; i niech dotknięty satyrą wespół się śmieje, a — poprawi.

Gdy katolicyzm wesołości i humoru nie wyklucza, a nawet jak wyżej mówiliśmy, najlepszą daje do niej podstawę — t. j. o ile tylko jest zdrowo pojęty, o ile polega nie na samych jedynie praktykach, lecz na życiu i c z y n a c h — i gdy skutkiem tego za granicą już dawno istniały i istnieją i bardzo pomyślnie się rozwijają, humorystyczne dodatki do pism katolickich lub nawet osobne tego rodzaju pisma, przeto niechże i u nas nikogo nie dziwi i nie razi to zjawisko, jakie my właśnie produkujemy, tj. nie „humorystyczny katolicyzm“, lecz „katolicka humorystyka“.

Gdzie masz chamie Piastów pług?*)

Gdzie masz, chamie, Piastów pług?
Gdzie masz, chamie, miodny ul?
Za wódczany w karczmie dług
Wszystko, wszystko zabrał Srul!
Już złotego rogu głos
Nie poruszy twoich kos —
W cielsku tłucze ci się duch,
Gdy go wódka puści w ruch.

Mniejsza, że ci słodki lep
Wybrał z ula chytry Szmul —
Puste serce, głupi łeb
To dopiero bolów ból!
Twa chałupa pada w gruz,
Po chałupie hula mróz,
Przed chałupą woń i gnój,
Oto, chamie, żywot twój!

Na co tobie złotych trąb,
W pawie pióra strojny czub,
Gdy zapada domu zrąb,
Gdy ci z głodu warczy gzub?
Niechaj sprawi dobry Bóg,
Byś miał bodaj krowi róg,
Byś choć rzepę z biednych pól
Pod domowy zawiózł ul!

Stanisław Brandowski.

*) Pod tym tytułem, z dopiskiem: „Odpowiedź p. Annie Neumanowej na jej wiersz p. t. *Został nam się Piastów pług*, czyli rada dla kmiotków mniej poetyczna, a więcej praktyczna“, zamieszcza autor w *Przedświcie* niniejszy wierszyk, jaki tu powtarzamy, zamieściwszy w poprzednim numerze wiersz, który dał do niego powód. Nie uważamy tego wierszyka za *persiflage* Czcigodnej Autorki lub Jej poezyi, tak pięknej i dającej to właśnie, czego nie daje beznadziejne i pessymistyczne zakończenie „Wesela“, tj. nadzieję, lecz za ciętą satyrę na dzisiejsze stosunki wiejskie. Z wyżyn ideału i poezyi, do których podnosi Czcigodna Poetka, strąca nas dowcipny satyryk-humorysta na tę tak nizką ziemię, do tej tak poziomej, a przecież tak ważnej, prozy życia.



O pojedynku.

(*Ze starych szpargałów przepisał As i Spółka*).

Na raucie u państwa Hopsztyckich, gdy z powodu niedopisania deklamatora, nagłej śmierci fortepianisty i zachrypnięcia śpiewaczki, goście zgromadzeni zabawiali się na przemian piciem kawy i pogawędką i gdy koniak niektórym osobom zaczął otwierać usta, pan Chryzostom przemówił:

— Moi kochani państwo, pojedynek jest straszną rzeczą!

— Pojedynkowałeś się pan?

— Jeszcze gorzej, lecz proszę nie przeszkadzać. Przed dwoma miesiącami w cukierni pewien gość trącił mnie łokciem w oko. Powiedziałem mu uprzejmie: Bardzo przepraszam, lecz proszę o większą uwagę; na co on odparł: Jesteś pan idyotą.

Pod wpływem pierwszego impetu postanowiłem wyzwać go na pojedynek.

Nazajutrz ubłagałem dwóch przyjaciół, którzy w charakterze sekundantów bardzo buńczucznie wyruszyli do mego przeciwnika.

Żadna niańka spacerująca nie bije tak mocno dzieci, powierzonych jej opiece, jak biło moje serce.

Powrócili w stanie godnym pożałowania; jeden z nich był biały, jak kreda, drugi zielony, jak trawnik w maju.

Oświadczyli mi, że przeciwnik pojedynek przyjął. Spojrzałem w zwierciadło i zauważyłem, że mam cerę Malajczyka.

Wszyscy trzej całą noc następną przepędziliśmy bezsennie; ja pisałem testament, moi przyjaciele gotowali się do więzienia.

Targi o wybór broni trwały całą dobę. Pierwotnie obrońcy mojego honoru głosowali za szablami, lecz na wieść, że podobnemi narzędziami można się pokaleczyć, zgodzili się na pistolety.

Gdy mi o tem powiedziano, natychmiast ogarnęło mnie przygnębienie, słyszałem bowiem, że do pistoletów bywa wsypywany proch i bywają wbijane kule.

Trzeciego dnia dorożką udaliśmy się na miejsce spotkania. Tego chmurnego poranka nigdy w życiu nie zapomnę.

Po drodze omdlałem, mój sekundant pierwszy trzymał się oburącz za głowę, gdy tymczasem drugi, mając kieszenie wyładowane flaszkami z koniakiem, co chwila popijał dla kurażu. Wreszcie mając już dość, wywiesił głowę na zewnątrz, a chociaż koła dorożki potrącały o nią co chwila, spał, głośno chrapiąc.

To, co ujrzałem po przybyciu na miejsce pojedynku, uspokoiło mnie do pewnego stopnia.

Na polanie, przyprószonej śniegiem, klęczał mój przeciwnik i rzewnie płakał; jeden jego sekundant w ostatniej chwili umarł, drugi wpadł ze strachu w szał i biegał po polu, usiłując przeskoczyć przez drzewo dwupiętrowej wysokości.

Widząc, że przeciwnik mój od łkania aż dostaje czkawki, i ja zalałem się łzami. Tak nie płakałem od

czasu, gdy znakomity dentysta wyrywał mi ząb „bez żadnego bolu.“

Pogodziliśmy się i postanowiliśmy odtąd być przyjaciółmi na śmierć i życie.

Obydwaj zgodziliśmy się na jedno, że pojedynek jest wynalazkiem bezsensownym i że sprawy honorowe są licha warte.

Bo czy dlatego, że ktoś kogoś nazywa idyotą, obie strony mają za to cierpieć katusze, mają się kłuć, ciąć, dziurawić kulami płuca i nadewszystko siwieć lub łysieć z obawy śmierci?

Czy dlatego, że ktoś nam łokciem wybija oko, to drugie pozostałe ma być również zamknięte na zawsze?

Dlatego też — tu się zwracam do pana, szanowny panie Hopsztycki — powiadam: za wiele mamy zmartwień w życiu, abyśmy je sobie sami robili. Niech wszystkie pojedynki licho porwie! Wnoszę zdrowie szanownej małżonki pańskiej!

Redaktor i wydawca: **Antoni Strzelecki.** Drukarnia Narodowa — Lwów, Kopernika 9.